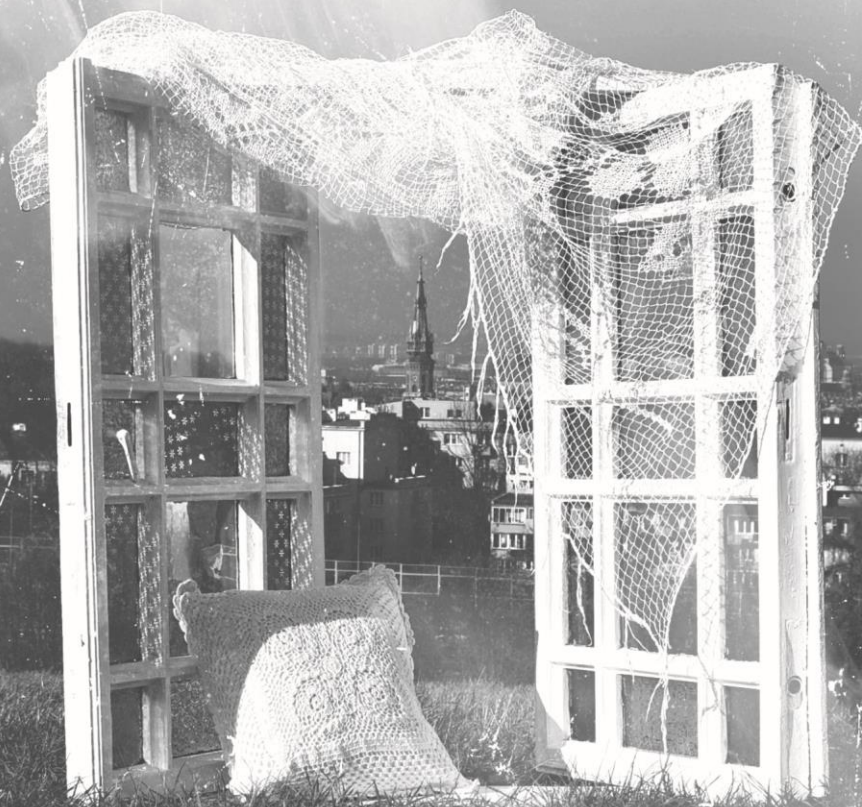


IZABELLA AGACZEWSKA



PŮDUSZKA
NA PARAPECIE

IZABELLA AGACZEWSKA

PŁDUSZKA NA PARAPECIE

Tekst © Copyright by Agnieszka Imiołek
Wydawca © Copyright Agnieszka Imiołek, Kraków 2022

Redakcja i korekta: Anna Dzięgielewska
Zdjęcia: Anna Naporą
Zdjęcia na okładce: Anna Naporą
Projekt okładki: Łukasz Białek
Skład: Karolina Przesmycka-Szustak

ISBN 978-83-949976-4-9

*Przeważnie w niedzielę jestem sama.
Cicho upływa czas, nic nie chcę, na nic nie
czekam. Będzie tak, jak ma być, nie będę
się już buntować.*

Janina Turek

Narratorka

Drodzy Czytelnicy! Niniejszym do Waszych rąk trafia historia, jaka mogłaby się przydarzyć gdziekolwiek na świecie. Zarówno teraz, jak i w każdym dowolnym czasie. Jedynie okoliczności mogłyby się nieco różnić.

Będę Waszą przewodniczką po krakowskim starym Podgórzu i razem z Wami prześlę nie do końca zrozumiałe poczynania postaci zaistniałych w tej opowieści. Pozwólcie więc, że zapoznam Was z głównymi i po prawdzie jedynymi bohaterkami wartymi Waszej uwagi. Pozostałe osoby będą tu odgrywać mocno zmarginalizowane role.

Prym będzie wieść Jadwiga, lat... No cóż, kobiet się o wiek nie pyta. Określmy go jako stateczny i dostojny. To kobieta pełna temperamentu, która, co ma w myśli, to i na języku. Nie kryguje się przed nikim. Jej powiernikiem i jedynym towarzyszem jest Fredzio, pies o takim samym doświadczeniu życiowym, co i jego pani.

Drugą bohaterką jest Dagmara, mogłaby być wnuczką Jadwigi. (Ups!) Młoda, ambitna, świetnie wykształcona. Trzydziestoparoletnia kobieta ma jasno sprecyzowane cele zawodowe. Inne jej nie interesują. Kariera to najwyższy priorytet. Jest zdeterminowana, by... Na szczególności przyjdzie jeszcze czas. Na razie ta dawka informacji, drodzy Czytelnicy, musi Wam wystarczyć.

Zacniemy od nieco spóźnionego prologu, żeby Was zaintrygować!

Prolog

Dagmara

Kraków, 25 grudnia, 16:42

Wskazówka na zegarze poruszała się w jednostajnym rytmie. Bardzo wolnym rytmie. Zanim wykonała kolejny ruch, zatrzymywała się i przez chwilę wahała – czy wrócić, czy przeskoczyć dalej. Przywodziło mi to na myśl sytuację, gdy przechodziłam po kamieniach przez rwący strumyk. Każdy krok musiałam wykonać precyzyjnie. Niekiedy robiłam to ze zbyt dużą siłą i lądowałam na kamieniu zaledwie wychylona w przód, co groziło ześlizgnięciem się do wody. Wtedy cofałam się nieco, łapiąc równowagę przed kolejnym skokiem. Dokładnie tak samo zachowywała się wskazówka zegara. Z całym impetem ruszała naprzód, po czym rozpędzona ostro hamowała, pociągana przez niewidzialną siłę. Co ją powstrzymywało przed wyrwaniem się z okowów tarczy zegarowej? Czyżby śrubka pełniła funkcję cerbera? Biedna uwięziona wskazówka marzy o wolności, o krainie, gdzie mogłaby sobie tykać we własnym tempie wybijanym przez jej wskazówkowe, metalowe serce, a tu bezlitosny mechanizm steruje każdym ruchem. Zrobiło mi się jej naprawdę żal.

Nie, to już nie do wytrzymania. Chyba zwariowałam. Użałam się nad losem wskazówki zegarowej. A może to omamy? Czyżbym wkraczała w etap halucynacji? Spojrzałam na swoje ręce. Nie dostrzegłam żadnych oznak opuchlizny; nacisnęłam palcem na skórę przedramienia, wypatrując zagłębienia. Nie, nie widać jeszcze charakterystycznego dolka. Podparłam się na łokciu i przechyliłam w stronę lustra; widok nie napawał optymizmem. W poświęcie ulicznych latarni wyglądałam niczym zombie. Ziemistoblada cera z fioletowymi, zapadniętymi sińcami pod oczami. Pomarszczone, spierzchnięte sine usta. Włosy jak strąki sterczące na wszystkie strony. Masakra. Opadłam na poduszkę, usiłując powstrzymać łzy niemocy. Ile jeszcze mi zostało? Jakież 63 godziny? To cała

wieczność. Umrę tu przez swoją głupotę. Gdybym tak mogła cofnąć czas. Jeszcze dwa dni temu...

Narratorka

Każdy by tak chciał – cofnąć czas. Pstryk i już... naprawione. To tak nie działa. Na szczęście(!), bo w jakim chaosie byśmy żyli, gdyby co chwilę ktoś zmieniał godzinę, miesiąc, rok, a może wiek. No trudno, trzeba wypić ten kielich goryczy... Nie lubimy ponosić konsekwencji swoich działań, tych nieprzyjemnych oczywiście... Nikt nie żałuje przecież, że kupił los na loterii i wygrał 😊 Coraz bardziej jednak przyzwyczajamy się do tego, że jednym kliknięciem możemy naprawić błąd – poprawić tekst, wysłać nowy załącznik, wnieść poprawki do deklaracji podatkowej, zmienić adres dostawy. Dzieje się to w mgnieniu oka, klik i jest. Wirtualny świat powoli zabiera nam zdolność przewidywania przyszłości, wyobrażania sobie następstw naszych czynów. Przecież wszystko mamy zaplanowane w programie – co będziemy jeść, kiedy mamy napić się wody; kalendarz podpowie nam o wizycie u lekarza, zebraniu w szkole.

Z coraz większym zdziwieniem przyjmujemy fakt, że w rzeczywistości realnej nie wszystko można naprawić, ot tak. Porozumiewanie się z maszyną jest o wiele prostsze i mniej absorbujące niż z istotą ludzką. Popsutych relacji nie zmieni żadna aplikacja. Nie zastąpimy się nowym awatarem, bo życie to nie gra. W relacjach z innymi stąpamy po kruchym lodzie. Jeden nieostrożny krok i tafla pęka. Słów nie cofniemy, czynów nie zatuszujemy... Zanikają nasze umiejętności komunikacyjne, bez nich błądzimy po omacku, popełniając wiele błędów. Często hamujemy dopiero tuż nad przepaścią. Wtedy zaczynamy się zastanawiać, analizować – a gdyby tak... a może... a jakby... powinienam wtedy... a jeśli... po co... To dobrze. Moment zatrzymania wyłącza w systemie autopilota i nasza inteligencja przechodzi w tryb aktywny.

Konsekwencje, jakie musimy ponieść (zwłaszcza te nieprzyjemne), mobilizują nas do wyciągnięcia wniosków.

Pozwólmy więc Dagmarze popracować nad swoim systemem i znaleźć błędy w oprogramowaniu. Musi przeskanować pewne pliki, a może nawet zrobić twardy reset. To zapewne potrwa... Chyba że podrzucimy jej jakiś dobry program antywirusowy.

Czas poznać drugą z naszych bohaterek. Cofniemy się o kilka dni, do chwili, kiedy zawiązuje się ta historia. Choć trudno tu mówić o początku, dla każdej z bohaterek bowiem zaczyna się on w innym momencie.

Jadwiga

Kraków, 22 grudnia, 4:35

Znowu jakieś dziwne, pokręcone sny mi się śniły. Przyszli do mnie – Marysia, Florek, teściowa – byli młodzi, ubrani w długie ciemne szaty. Spałam, a oni stanęli wokół łóżka i zaczęli mną szarpać. Krzyczeli na mnie. Nie słyszałam ich głosów, tylko widziałam powykrzywiane, oburzone twarze. Gestykulowali przy tym przesadnie. Szeroko otwierali usta, ukazując wielkie zęby, które u każdego z nich były zepsute. Nagle zobaczyłam Jacusia, stał milczący i przestraszony w kącie. Zawołałam go: „Synku, chodź do mnie!”, a on spojrzał na mnie tak przeraźliwie smutno. Oczy miał sine, podkrążone. Zawołałam drugi raz. Chciałam wstać, ale nie mogłam, bo postacie stojące nade mną pochwyciły mnie mocno. Jacuś robił się coraz bardziej przezroczysty, aż w końcu znikł. Tak się złękłam, że aż się obudziłam. Te koszmary mnie kiedyś wykończą. Co noc jakieś dziwadła zakłócają mój sen.

Za oknem jeszcze ciemno, która to może być godzina? Szósta? Piąta? I po co się tak wcześniej obudziłam. Mogłabym spać i do południa. Ech, ta starość. Mówią, że człowiek na emeryturze sobie odpocznie. Wyśpi się w końcu... A tu jak na złość pobudka w środku nocy, bo tu strzyknie, tam zaboli albo siusiu trzeba zrobić, bo pęcherz pełny. Do kitu taki odpoczynek. Leżę – boli kręgosłup,

przekręcić się na inną stronę ciężko, jeszcze te skurcze łydek, jak złapia, to nie daj Boże. Najgorsza chwila to wstawanie z łóżka, dzwignąć się nie ma jak ani przytrzymać, ani podeprzeć... ech. No, udało się jakoś. Teraz tylko się rozchodzić i będzie lepiej.

Na zegarze 4:35. Najświętsza Panienko, po co mi było wstawać tak wcześnie. Fredzio mruknął coś przez sen, łypnął okiem i zaraz je zamknął na powrót. Dalej śpi. Przynajmniej on będzie wyspany. Podreptałam do łazienki na siku, zdjęłam wałki, wytapirowałam te resztki włosów, które mi jeszcze zostały i popsikałam lakierem, żeby fryzura dotrwała do wieczora. Nawet kolor mi wyszedł całkiem, całkiem... Nie za czerwony, nie za ciemny, taki burgund w sam raz. Tylko czy to ktoś zauważy? Może po świętach Gwizdoniowa na placki i spóźniony opłatek zaprosi jak co roku? Żeby tak człowieka na wigilię zaprosiła... ale nie, po co komu przybędą przy wigilijnym stole? A tam rodzina duża, ledwie się w tych dwóch pokojach mieszczą. Gdzie mi tam do ludzi. Fredzio to teraz cały mój świat.

Spojrzałam w lustro, makijaż wyszedł mi nawet, nawet... Brwi trochę krzywo, ale nic nie poradzę, ręka mi drży, lepiej nie będzie. Z daleka może nikt się nie dopatrzy. Dawniej robiłam sobie hennę, teraz boję się, że mi ręka zadrży. Za Chiny Ludowe nie pójdę do żadnego salonu kosmetycznego. Nie ufam tym wszystkim niedouczonej kosmetyczkom po weekendowych kursach. Zrobią ze mnie straszdyło i jak tu potem ludziom się na oczy pokazać? Wolę sama kreski na brwiach robić, jakby co, to zawsze mogę zmyć i ponownie narysować. Ostatni raz kuknęłam¹ do lustra. Może być.

A teraz do kuchni. Cukier zmierzyć muszę. Oj, trochę za wysoki. Zastryk z insuliny, pierwszy dzisiaj. Paskudna ta cukrzyca... Euthyrox na tarczycę trzeba zażyć na czczo. Woda z odrobiną miodu (no bo jak tu tak zupełnie bez cukru żyć?) i cytryny przefiltrowała się przez noc. Kwaśna nieco. I co dalej? Do łóżka już się kłaść nie ma co, fryzurę tylko zmierzwię. Szwendać się po domu nie będę, żeby sąsiedzi znów pretensji nie mieli, że hałasuję

¹ Słowniczek regionalizmów krakowskich znajduje się na końcu książki.

w środku nocy. Za oknem ciemno, na ulicach pustki. No nic, radio cicho zapuszcze, zaraz godzinki śpiewać będą, to odpawię. Potem śniadanie sobie zrobię, Fredzia wypuszcze na chwilę. Zimno dzisiaj. Wiatr mocny wieje, to na spacer dopiero w południe wyjdziemy. Oby ślisko nie było, bo nieszczęście gotowe. Jakies zakupy zrobimy po drodze.

Do cukierni wstąpimy po pączki do kawy. Fredzio to mały łasuch, nie może bez ciasta wytrzymać. Tyle tej naszej radości, że podwieczorek słodki mamy. Cukier znowu przekroczy 200, ale jak to mówią: na coś trzeba umrzeć...

Narratorka

I jakie pierwsze wrażenie wywarła na Was Jadwiga? Sympatyczna, prawda? To zobaczymy, co będzie dalej. Jest zimny, grudniowy poranek, właściwie to jeszcze noc o tej porze roku. Jadwiga nie może spać, więc zajęła swoje stanowisko przy oknie. Umościła łokcie na jaśku położonym na parapecie i wypatruje pierwszych przechodniów.

Jadwiga

22 grudnia, 5:35

Nowak spóźni się dzisiaj do pracy, pewnie wczoraj wypił za dużo. Aż dziw bierze, że go z roboty nie wywalą. Podobno rąk do pracy brakuje i każdy leser robić może. Ech, kilkanaście lat temu takie coś by nie przeszło. Na zbity pysk by wyleciał i żadnej innej pracy by nie miał. Jedynie na bezrobocie i do pomocy społecznej po zasiłek by poszedł. To może i lepiej, że pracuje...

Za chwilę Kowalikowa powinna iść na pierwszą zmianę do Tesco. Sprzedaje na dziale rybnym. Czuć te ryby na kilometr od niej. Taka praca. O, idzie. Ta sama popielata czapka od dziesięciu lat, wełniany przedpotopowy płaszcz z ciucholandu i torebka już mocno sfatygowana. Co się dziwić? Jej ślubny to inwalida, na wózku jeździ

i do kieliszka za często zagląda. Czworu dzieci jeszcze w szkole się uczy, a najstarsza – Anka – po zawodówce od razu zaciążyła. Z brzuchem chodzi, a męża nie widać. Gniotą się w tym małym mieszkanku, a właściciel straszy, że ich wyrzuci, bo mu renome psują. Ponoć chce kamienicę odnowić i apartamenty na wynajem zrobić. Szkoda babiny.

6:10

Znowu Julka beczy na całą okolicę. Powariowali ci ludzie, takie malizny z samiutkiego rana do żłobka i przedszkola ciągną. Wyrodne matki. Kariery im się zachciewa, zamiast siedzieć na tyłku w domu, dziećmi się zająć, obiad mężowi ugotować, to nie, one wolą się wypindrzyć i do biura lecieć. Dostają przecież 500+ raz, dwa albo i trzy, to co, mało? Prawie tyle, co i ja po 39 latach pracy. O, a Julcia dalej chora, chyrla, aż jej płuca chce wyrwać, i taka kochająca mamuśka, zamiast do lekarza, to do przedszkola dziecko prowadzi. Antoś śpi w wózekczku, chociaż on ma chwilę spokoju. Julka ledwie nadąza za matką. O ja już wygarnę tej całej Lichockiej, co o tym myślę, teraz nie chcę się na ziąb wystawiać, ale po południu, choćby nie wiem co, okno otworzę i na cały regulator będę nadawać. Toż sumienia trzeba nie mieć, żeby takie bąbelki zostawiać chore na łaskę przedszkolank. Oj, ziółek sobie muszę naparzyć i ciśnienie zmierzyć, chyba mi do 200 podskoczyło!

6:28

Fredzio już drzemie wyłożony na swoim legowisku. Ledwie wstał, wyleciał za bramę, zrobił, co trzeba, zjadł śniadanie i zmęczony wyleguje się na poduszce. Takiemu to dobrze. Spać może o każdej porze.

Za chwilę święta, trzeba by choinki wrychtować. Większą w salonie, a małą tu na parapecie postawić. Milej będzie, co nie, Fredziu? I oblecзки na poduszki zmienić. A może czas na nowe jasieczki? Te już takie wygniecione, ubite. Niewygodnie się trzyma

łokcie na nich. Trzeba zająć na Kalwaryjską i na ciuchy zaglądnąć, może będą jakieś możliwe, to się kupi. Takie złote obłuczki widziałam, pięknie by było, nie, Fredziu? Oj, ale z ciebie towarzysz, nie ma co! Nawet nie zaszczekasz ani nie piśniesz. Starzejesz się, oj starzejesz. Jak i ja. Takie z nas dwa staruchy, ech.

Czas na śniadanie i pozostałe lekarstwa – na nadciśnienie, krzepliwość, zwyrodnienia, zgagę... Całą litanię mogę wymienić. Trzeba się spieszyć, żeby się wyrobić, zanim inteligencja wyruszy do biur. Kiedyś to więcej ludzi pod oknem przechodziło, czasem zagadali, uśmiech posłali albo głową choć kiwnęli. Teraz już niewielu pozostało dawnych mieszkańców. Nowi właściciele kamienic tylko patrzą, żeby biedotę na bruk wywalić, wyremontować mieszkania i sprzedać za bajorńskie kwoty. To sporo starych sąsiadów się przeprowadziło, a nowi człowieka nie uszanują, ba!, nawet nie zauważą, pędzą, co tchu. Zagapieni w te telefony tak, że świata poza nimi nie widzą. Kiedyś taki jeden elegancik w garniturku w słup wszedł, a innym razem dziewczyna pod samochód by wpadła. Jak ta ciemna masa, zadżumieni ci ludzie.

Większość teraz do pracy samochodami jeździ. Wsiadają pod domem, wysiadają pod pracą. Żadnych relacji sąsiedzkich, czasem burkną „dzień dobry” i tyle ich widzieli. Dawniej to ludzie spotykali się na ulicy i ze sobą rozmawiali, do domów się zapraszali albo na podwórkach wszyscy zasiadali, wesoło było. Teraz każdy szczelnie zamknięty. Nic tylko praca – dom. Tylu młodych tu mieszka, a każdy sam. Bez męża czy żony, bez dzieci. Nawet zwierząt nie mają. Może to i dobrze, skoro oni o bożym świecie zapominają zapatrzeni w te ichnie komputery, to jaki z nich pożytek? Ech.

Narratorka

Winna Wam jestem kilka istotnych informacji. Czy wyjawiałam, że Dagmara mieszka vis-à-vis Jadwigi? Nie? Co za niedopatrzenie z mojej strony. Już to nadrabiam. Otóż nasze bohaterki mieszkają w kamienicach położonych na wprost siebie. Rozdziela je ulica,

rzędy zaparkowanych samochodów, dwa marne drzewka (zważywszy na porę roku zupełnie огоłocone z liści) oraz chodniki.

Mieszkanie Jadwigi, składające się z trzech pokoi, mieści się na parterze brudnoszarego, nieodnowionego budynku, którego historia sięga jeszcze czasów zaborów. Natomiast Dagmara jest właścicielką dwupokojowego apartamentu na pierwszym piętrze odrestaurowanej kamienicy. Oba budynki mają podwórka. Jedno jest pokryte popękanym betonem, pomiędzy który w okresie letnim wciskają się wszędobylskie chwasty. Wiata śmietnikowa postawiona w kącie przedstawia żałosny widok, a całości beznadziei i bylejakości dopełnia relikw przesłości w postaci trzepaka. Drugie jest wybrukowane kostką z precyzyjnie zaaranżowanym kącikiem zieleni, dwiema ławeczkami i oplecioną winobluszczem altanką śmietnikową w rogu podwórka. Nie trudno zgadnąć, które przynależy do odnowionej, a które do zaniedbanej kamienicy. Oba budynki usytuowane są na ulicy Zamoyskiego, w starej części Podgórza.

Jadwiga

22 grudnia, 6:55

Budźże się, Fredziu, cały dzionek prześpisz. Włóż na parapet. Zobaczymy, czy ta lafirynda z naprzeciówka wróciła z wojaży. Tyle bagaży miała, że chyba na długo pojechała. I caluśka na biało była ubrana. Wypicowana taka jak jakaś gwiazda filmowa. Kiedyś na taką strojnisię to maniurka wołano. Nawet walizkę miała białą. Też coś, przecież zaraz się to ufajda od błota na ulicy. Szczęście miała, że śnieg wtedy z rana spadł. Jak Królowa Śniegu wyglądała. I taki sam charakter wredny ma jak ta z baśni Andersena. Ani się nie uśmiechnie, ani „dzień dobry” nie powie. Głowę zadziera, na innych nie spojrzy. Mówię ci, Fredziu, to ona na nas tę komisję nasłała. Hadra jedna.

Takie ci po nią auto wtedy zajechało, Fredziu, tyś spał, a trzeba było patrzeć na tę limuzynę. Wyskoczył z niej taki elegancik,

starszawy już, nie młodzik. Pewnie rodzinę ma, tylko taką sikse na wyjazdy niby to służbowe zabiera. Myśleli, że ich nikt nie zauważy, bo po piątej było, ale wtedy też spać nie mogłam i ich wyhaczyłam. Prędyutko zapakowali walizkę i odjechali, aż się za nimi kurzyło. Śnieg zawirował pod kołami samochodu i biały pył uniósł się wysoko.

Ciemno w mieszkaniu tej lafiryndy. Widać nie wróciła jeszcze, bo o tej porze zwykle już się u niej świeci. Zaraz po siódmej z domu zazwyczaj wychodzi i na tych szpilkach stuka i stuka po chodniku. Musiała więc na dłużej wyjechać... Tak jak mówiła kiedyś przez telefon do jakiejś tam Dominiki. No wtedy, co to przechodziła koło naszego okna, z pracy wracała, po południu to było. Zatrzymała się na chwilę, bo jej obcas wpadł między płytki chodnikowe. Stała pod drzewem i gołąb narobił na ten jej biały płaszcz. Pamiętasz, Fredziu, jakżeśmy się uśmiali? Zajęta była trajkotaniem o wakacjach na Kanarach i jakimś tam wyjeździe służbowym, co to nagle jej wypadł. Nawet nie zauważyła śmierdzącej ozdoby na ramieniu, taka była zaaferowana. Chyba się z tą Dominiką na koniec pokłóciła, ale tego to już nie dosłyszałam, bo przeszła na drugą stronę ulicy.

7:15

O, idzie wielmoża! Pan Górecki, wielki dyrektor. Patrzcie państwo, ledwie stopami bruku dotyka, jakby się unosił nad ziemią. Głowa wysoko zadarta, żeby przypadkiem kogoś nie zauważyć i nie musieć się kłaniać, bo by korona z głowy spadła i to by dopiero było. Hrabia jak już musi powiedzieć: „dzień dobry”, to ledwie usta otwiera i trzeba się dobrze wysilić, by dosłyszeć słowa. Aż dziw bierze, że się nie potknie na tym pofałdowanym przez korzenie chodniku, bo nogi to ma jak podolski złodziej. Pewnie musiał gdzieś dalej zaparkować, bo miejsca bliżej swojej kamienicy nie znalazł. Tyle tych pojazdów, że przejść nie ma jak, zaparkowane jeden za drugim całą ulicę tarasują. Ile już scysji o to było, nie ma dnia, żeby się kierowcy między sobą nie pokłócili.

– Cholera jasna! – doszedł mnie donośny głos Góreckiego. No proszę, nasz arystokrata potrafi głośniej mówić. Nie miałam jednak czasu na dalsze spostrzeżenia, bo musiałam chyłkiem uciekać od okna. Zdążyłam porwać tylko pupila z parapetu i oddalić się na bezpieczną odległość. Górecki właśnie wlaźł we Fredziową kupę (której oczywiście nie sprzątnęłam rano, bo przecież z domu nie wychodzę na ciemnicę taką. A świadków nie ma o tej porze, to co sobie zawracać głowę będę? Jak pójdziemy w południe na spacer, to wtedy demonstracyjnie wezmę woreczek i udam, że sprzątam. O opinię trzeba dbać). Sąsiad, wycierając buty w resztki śniegu, zalegające pod drzewem, właśnie rozglądał się za winowajcą. Uff, chyba nas nie dojrzał.

– Dlaczego nikt nie sprząta tych gówien po swoich zasrańcach! – dał się już na całego rozjuszony dyrektor Górecki. Był przy tym tak groteskowy, że nie udało mi się stłumić śmiechu.

– Dzieci, uważajcie, bo sobie buty powalacie. – Ziętecka z sąsied-niej bramy jak co rano odprowadzała wnuki do szkoły. – Jak tak można napaskudzić i zostawić. Dzień dobry, panie Górecki. Może ja dam panu jakąś chusteczkę? – zapytała sąsiadka dyrektora, który zorientowawszy się, że ma obserwatorów, cały się usztynił, mruknął coś pod nosem i dał dyla z powrotem do swojej kamienicy.

Popatrzyłam z czułością na mojego pupila. Poczłapałam do kuchni i zaraz wróciłam.

– Masz, Fredziu, plasterek szynečki, ty mój bohaterze kochany. Lepiej nie mogłeś wycyrklować. – Wyczochrałam go po łbie. Za tę chwilę radości i satysfakcji należało mu się.

Zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak Górecki pędzi ponownie przed moim oknem, tym razem głowę trzymał dużo niżej i bacznie przyglądał się chodnikowi, omijając szerokim łukiem feralne miejsce. Potem dzieciaki maszerowały do szkoły, jak zwykle robiąc wiele rumoru. Rzucały się śniegiem, którego resztki znalazły pod drzewem, goniły się wokół aut, zrzucały czapki jedno drugiemu. Ech... młodość, to było dawno. Jak ten czas przeleciał. Dopiero co

człowiek do szkoły chodził, linijką po łapach dostawał, w pochodach pierwszomajowych maszerował, wiersze po rusku recytował...

„Died Maroz siewodnia chmuryj, u niewo tiempieratura...”

Narratorka

I takie bzdury, jak ów wierszyk, zapadają w pamięć, a ważniejsze rzeczy zacierają się z biegiem czasu. Dlaczego nie pamiętamy naszych dziecięcych lat? Naszego zdziwienia tuż po narodzeniu, pierwszego pocałunku matki, przytulenia ojca... Naszych pierwszych słów, kroków, psikusów, zabaw... Te momenty umykają bezpowrotnie...

Jakie są Wasze pierwsze, wyraźne wspomnienia? Z jakiego okresu? Ile wtedy mieliście lat? Pamiętam nieliczne wydarzenia z pobytu w szpitalu, gdy miałam 6 lat. Nieco więcej z pierwszych lat szkolnych. A gdzie cała reszta? Co było wcześniej? Oddzielone grubą kreską nieświadomości. Szkoda tych bezcennych chwil zaklętych w niepamięci...

Jadwiga

22 grudnia, 7:42

Posłałam łóżko i odłożyłam książeczkę do modlitwy na półkę w witrynie. Znowu zasnąłam przy litanii loretańskiej. Nawet zasnąć normalnie nie mogę, tylko kręcę się i kręcę na tym łóżku. Dopiero jak zaczynam czytać modlitwy, to mi się oczy same zamykają. Zatrzymałam się przy witrynie i zapatrzyłam się na stojące tu zdjęcia w ozdobnych ramkach. To moje skarby. Wzięłam do ręki jedno zdjęcie. Ostatnia wspólna fotografia z siostrą. Dziewczyny jak malowane byłyśmy. Piękne, grube warkocze po pas, wąska kibić, zgrabne nogi. Nie to, co teraz... Człowiek ledwie się rusza. Narosło tego tłuszczu, nie wiedzieć skąd, przez te wszystkie lata. Schylić się trudno, rąk do góry podnieść nie można... Taka to starość, ot starość. Zerknęłam na drugie zdjęcie. Florek taki przystojny w tym

świętecznym garniturze, Jacuś cały na biało w komunijnym ubranku i ja niczego sobie. Sukienkę sama uszyłam z błękitnej krempliny. Tyle czasu już minęło...

Przejechałam palcem po zdjęciu, dotykając twarzy siostry. Ile to kurzu się na półkach nabierało, trzeba posprzątać przed świętami.

Fredziu, powoli bierzemy się do roboty. Dzisiaj meble przetrzemy, tyle tych dzindzibołów porozstawianych wszędzie, że długo nam zejdzie. I choinki z piwnicy przyniesiemy. Trzeba zobaczyć, czy baniek starczy, bo przy rozbieraniu zeszłej zimy trochę się potłukło. Pamiętasz, nicponiu jeden, jak narozrabiałeś z tym wstrętnym kocurem od Mazurowej? Wleciało toto całe czarne, nasrożyło się i atakować zaczęło. Jakby w niego jakie lichy wstąpiło. A ty co? Zamiast przepędzić, psiajucha, to ty ogon podkuliłeś i pod choinkę wlałeś. A kocur za tobą. Taki się rwetes zrobił i harmider, że sąsiedzi się pozlatywali, zaciekawieni czy mnie czasem nie mordują. Mazurowa kwiku narobiła, że jej Mruczusia zagryziesz, a o śladach po pazurach na twoim pysku nic nie chciała słyszeć. Tak żeśmy się wtedy pożarły, że prawie pół roku nie rozmawiałyśmy. Potem tylko się pożegnać przyszła, jak się do córki przeprowadzała. A i tak zamieniła ze mną kilka słów, bo tak wypadło.

9:12

O Jezu, jakie to dziadostwo ciężkie, cała się spociłam. Na nic makijaż, trzeba poprawić przed wyjściem. Niby tylko dwie małe choinki i trzy nieduże pudełka, a zmachałam się jak lokomotywa i serce wali niczym młot. Ledwie dotaczałam te ozdoby z komórki. Najgorsze są schody, życie mi rujnują.

Nalałam wody do wanny, dodałam szamponu sosnowego Fredzia i parę kropelek olejku jodłowego. Włożyłam choinki, niech się wymoczą, będą pachnieć na święta. Skoro nie ma żywego świerku, to chociaż zapach będzie. Odpocznę, a potem pójdziemy na zakupy.

Narratorka

Fredzio i jego pani będą teraz wylegiwać się na fotelu bujanym lub też na sofie, a my zajrzyjmy, co dzieje się u naszej drugiej bohaterki. Dagmara przebywa obecnie w Szczyrku, uczestniczy w wyjeździe szkoleniowo-świętecznym organizowanym przez firmę, w której pracuje.

Dagmara

Szczyrk, 22 grudnia, 9:48

Dawid dotknął mojego nadgarstka i kciukiem delikatnie masował wnętrze dłoni. Wykorzystał moment, gdy po skończonej prelekcji podeszłam do niego, by odebrać materiały i dokumentację. Moimi zmysłami zawładnął orientalny zapach wody Giorgio Armani. Oddech przełożonego łaskotał mój kark, gdy szeptem zapraszał mnie do swego pokoju. Mieliśmy się spotkać podczas lunchu, gdy będzie panowało ogólne zamieszanie i nikt nie domyśli się, że nas nie ma. Dawid jadł mi z ręki, awans z pensją dwakroć większą od obecnej miałam już w kieszeni. Jutro zostanie to oficjalnie ogłoszone. Wreszcie kredyt zaciągnięty na komfortowy apartament nie będzie spędzał mi snu z powiek.

Tak, ten wyjazd potwierdzał początek mojej błyskotliwej kariery. Choć termin był co najmniej dziwny. Tuż przed świętami, przed zamknięciem roku... Wyglądało to albo na rażącą niefrasobliwość, albo na poważne zmiany w firmie, które miano nam zakomunikować. Koleżanki i niektórzy koledzy utyskiwali na niedogodności daty wyjazdu, ale nikt nie odważył się otwarcie zaprotestować. Też nie byłam zadowolona. Następnego dnia po powrocie ze szkolenia wylatywałam na upragnione wakacje. To nastęrczyło mi nieco problemów organizacyjnych, ale perfekcyjnie potrafiłam temu zaradzić. Już przed wyjazdem do Szczyrku spakowałam drugą walizkę, zamówiłam taksówkę na 6:10, przygotowałam dokumenty i zaplanowałam inne szczegóły.

Obawy przed trzęsieniem ziemi w firmie na szczęście okazały się nieuzasadnione. Podpytałam Dawida i dowiedziałam się, że pieniądze przeznaczone na szkolenia trzeba wydatkować do końca roku, a jeden z zaplanowanych wcześniej kursów nie odbył się, więc postanowiono zorganizować dodatkowy wyjazd szkoleniowo-integracyjny i połączyć go ze świątecznym przyjęciem dla pracowników. Takie trzy w jednym. W sumie, zamiast pracować, można się zrelaksować. I z dziesięciodniowego urlopu zrobił się nagle dwutygodniowy.

Moje plany zaczęły się w końcu urzeczywistniać. Krok po kroku zdążałam do celu, który wytyczyłam sobie w dzieciństwie. Już w podstawówce marzyłam, by wyrwać się ze znienawidzonej miejsciny, schowanej gdzieś na końcu świata. Wszystko mnie tam tłamsiło: małomiasteczkowe horyzonty, zgniłe poglądy i nieustanne monitorowanie przez mieszkańców. Gdzie każdy chodził grzecznie do kościoła co niedzielę, nisko kłaniał się proboszczowi, leczył się u doktora Barana, robił zakupy w sklepie u Zięby, korzystał z usług tego samego fryzjera, szewca i adwokata. Żadna tajemnica nie była tajemnicą. Tam wszyscy o sobie wszystko wiedzieli. A każdy przejaw niedopasowania do tamtejszych norm był szeroko komentowany i skazany na społeczne napiętnowanie. Choć normy były pojęciem względnym. Normą było, że Wójcikowa miała limo pod okiem, a sklepikarz przepity głos, żona aptekarza często bywała u dentysty Dudka poza godzinami przyjęć, radnego Nowaka nigdy policja nie zatrzymywała do kontroli, choć znacznie przekraczał prędkość w terenie zabudowanym, a w zakładzie u mechanika można było za pół ceny kupić potrzebną część do auta. Jednak ubranie się na pogrzeb w inny kolor niż standardowa czerń, przefarbowanie włosów na zielono, kupowanie mięsa w piątek, a nie daj Boże wygłaszanie swoich poglądów na temat religii czy polityki niezgodnych z ogólnym frontem, stanowiło poważne przestępstwo i skazywało delikwenta na potępienie i bojkot. Tych z nadmiernymi ambicjami też usadzało się na przysłowiowym tyłku. Po co takiemu nauka w liceum w Rzeszowie, jak może uczyć się w najbliższym

powiecie. Studia? Do czegoż to potrzebne, lepiej fachu się nauczyć, a nie do Krakowa czy Warszawy jeździć. Takie rarytasy przysługiwały niewielkiej miasteczkowej elicie – lekarzowi czy adwokatowi, no może niech by i syn aptekarza na studia poszedł. Reszta? Istne fanaberie. Mnie jako córce nauczycieli jakoś uszło, chociaż nasłuchiłam się tego i owego, co ja niby na tych studiach wyrabiam. Przecież miejscowi najlepiej wiedzieli, jak wygląda życie w wielkim mieście.

Och, jak bardzo chciałam stamtąd uciec. Nie słuchać idiotycznej paplaniny dziewczyn z mojej klasy, dla których szczytem kariery było wyjść za syna lekarza. Nie być obiektem chamskich podrywów chłoptasiów, którym słoma wychodziła z butów. Na samo wspomnienie ogarnia mnie irytacja. Mój cel był prosty. Dojść jak najwyżej po szczeblach kariery i patrzeć z góry na tych, co zostali na dole. Mieć zapewniony standard życia, zajmować lukratywne stanowisko z niebotycznymi zarobkami. Proste? Proste.

Nie chciałam, tak jak moi rodzice, osiąść w zapadłej dziurze i ledwie wiązać koniec z końcem, wychowując gromadkę dzieci. Oboje zrezygnowali ze swych marzeń i ambicji. Mama musiała przerwać studia, gdy urodziła się Dominika, a po roku ja. Stypendium w Berlinie przeszło jej koło nosa. Potem kilka lat zajęło jej uzyskanie magisterki na studiach zaocznych. Tata też zaprzepaścił swoją karierę. Dostał angaż do orkiestry Filharmonii Podkarpackiej, miał możliwość koncertowania w Polsce i na świecie. Jednak postanowił być lojalny wobec mamy i zatrudnił się jako nauczyciel muzyki w naszym miasteczku. Nigdy nie zrozumiałam ich decyzji, mogli przecież realizować swe pasje, zamiast babrać się w pieluchach. Po co było się tak spieszyć z zakładaniem rodziny? Gdybyśmy się urodzili dziesięć lat później, nic takiego by się nie stało. Mieliby już ugruntowaną pozycję zawodową i finansową. Mama zrobiłaby profesurę i karierę na uczelni, tata może zostałby szefem orkiestry. Cieszą się namiastkami swych marzeń. I co z tego, że uczniowie mamy zdobywają nagrody

na olimpiadach naukowych, a szkolna orkiestra prowadzona przez tatę koncertowała na dożynkach?

Nie chciałam iść w ich ślady i za wszelką cenę dążyłam do tego, by osiągnąć to, czego im się nie udało zrealizować. Wybierając kierunek studiów, kierowałam się konkretnymi profitami, jakie mogłam zyskać po ich ukończeniu. Wybrałam uczelnię ekonomiczną. Stanowisko dyrektora czy też prezesa było coraz bliżej. Po studiach ukończonych na samych piątkach rozpoczęłam staż w dynamicznie rozwijającej się firmie budowlanej. Praca za półdarmo opłacała się jednak trzykrotnie. Zyskałam opinię rzetelnego i kreatywnego pracownika, zdobyłam umowę na całkiem niezłych warunkach, no i poznałam środowisko, wiedziałam, kogo powinnam się ucześcić, by piąć się wyżej. Po pięciu latach wytężonej pracy i obiecany awansie firmą wstrząsnęła fuzja. Nasz gigant na rynku został wchłonięty przez konsorcjum z Niemiec. Pojawili się nowi przełożeni i nowa konkurencja w postaci ambitnych, głodnych sukcesów wilczków czyhających na awans. Moja pozycja uległa degradacji. Jednak tylko na chwilę. Zakasałam rękawy i krok po kroku odzyskiwałam utracony grunt. Wymagało to ode mnie zmiany taktyki. Walka z rywalami niekoniecznie była merytoryczna i uczciwa.

Narratorka

Cóż za szczerłość. Dagmara wyłożyła nam kawę na ławę. Przynajmniej nie ściemnia. Jakiś już pogląd na nią mamy. Zaraz rozpocznie się kolejny wykład, więc zostawmy ją, by mogła bez przeszkód uczestniczyć w szkoleniu. Wróćmy do Krakowa. Jadwiga odsapnęła nieco i robi listę zakupów.

Opatulcie się ciepłym płaszczem, załóżcie czapki, rękawiczki i szaliki. Postawcie kołnierze. Wzujcie kozaki albo trapery. Na polu (tak, tak: na polu! Nie na zewnątrz, nie na dworze, nie na podwórku, nie za oknem tylko na polu. Jesteśmy w końcu w Krakowie) jest

zimno i nieprzyjemnie. Pytacie: Po co? Otóż wyruszmy razem z Jadwigą na ulicę Podgórze.